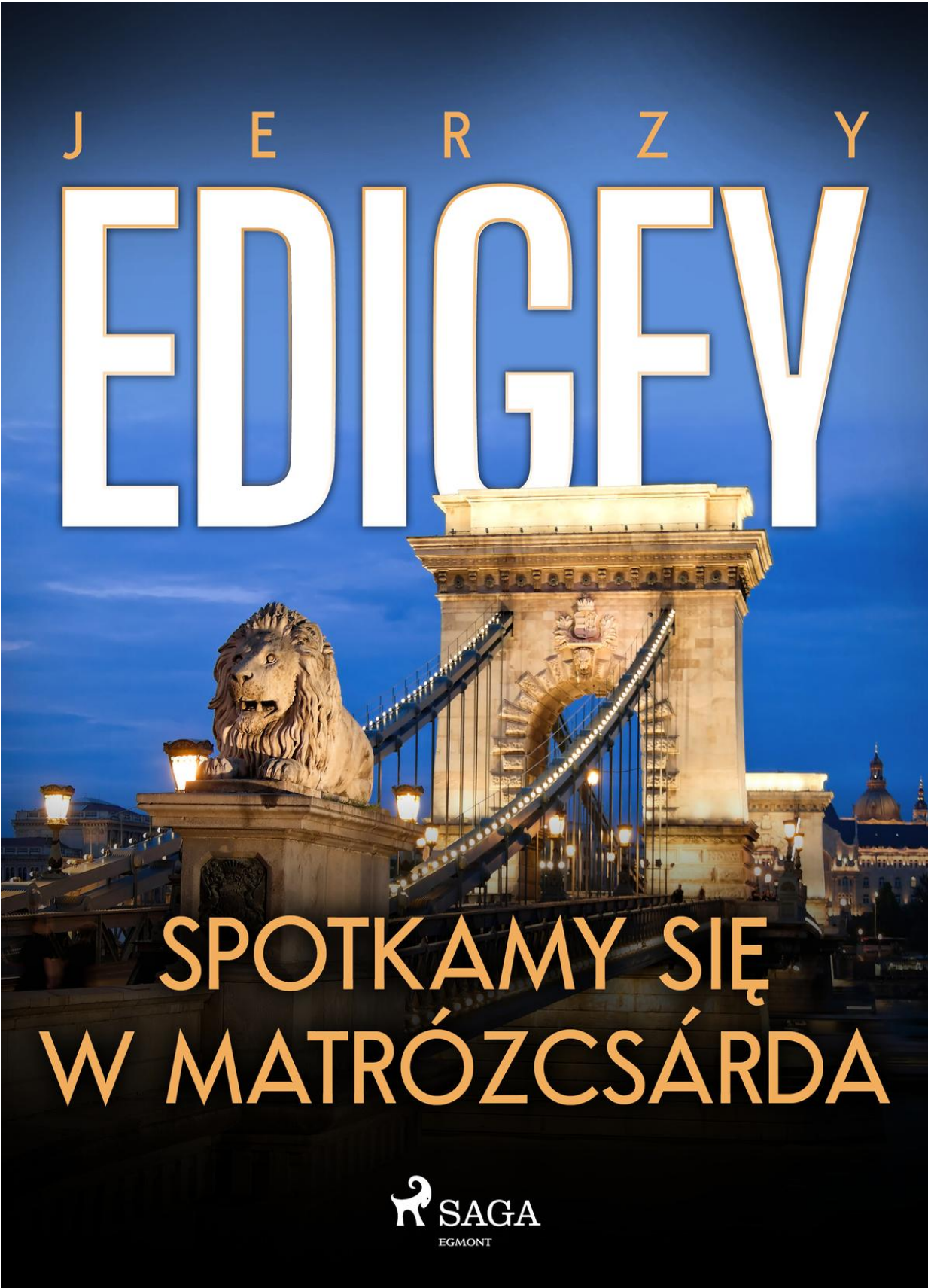


J E R Z Y

EDIGEY

SPOTKAMY SIĘ
W MATRÓZCSÁRDA



J E R Z Y

EDIGEY

SPOTKAMY SIĘ
W MATRÓZCSÁRDA

 SAGA
EGMONT

Jerzy Edigey

Spotkamy się w Matróżcsárda

Saga

Spotkamy się w Matrózcsárda

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2011, 2021 Jerzy Edigey i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728049754

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

I. W pociągu do Katowic

Dyżurny ruchu podniósł do góry czerwoną tarczę. Za jego przykładem konduktorzy dali sygnał swoimi żółtymi chorągiewkami. Zachrypłe głośniki po raz ostatni powtórzyły, że „pociąg pośpieszny do Sofii, Budapesztu przez Koluszki, Częstochowę, Katowice odjeżdża z toru przy peronie pierwszym”. Długi wąż wagonów lekko drgnął, potem koła zaczęły się obracać coraz szybciej.

W ostatnim momencie, kiedy już ekspres „Polonia” był w ruchu, wysoki, wysportowany mężczyzna o ciemnych włosach, pociągłej, mocno opalonej twarzy i szarych oczach wyszedł z budynku Dworca Głównego w Warszawie. Widząc ruszający pociąg, krótkim sprintem dopadł ostatniego wagonu. Ktoś z wewnątrz otworzył mu drzwi i Michał Wyganowicz wskoczył do coraz bardziej przyspieszającego pociągu.

Miał miejsce oznaczone numerem 48 w wagonie 25. Ruszył więc w długą drogę wzdłuż wagonów. Jak zwykle na samym końcu były wozy do Katowic, a dopiero następne do Budapesztu. W jednym z nich znalazł swoje miejsce.

W przedziale siedziały cztery osoby. Jakaś młoda para, najwidoczniej wyjeżdżająca na Węgry, aby jeszcze użyć wczasów nad Balatonem w promieniach wrześnie słońca. Obok nich – niewiasta w wieku lat czterdziestu. Ta pewnie jechała gdzieś służbowo, bo nie tracąc czasu wertowała plik akt w szarej oprawie. Po drugiej stronie przedziału, przy oknie, ulokował się dość tęgi, szpakowaty facet zatopiony w studiowaniu „Trybuny Ludu”, jedyne go dziennika, który rano można kupić na dworcu. Na stoliczku

przed nim leżały dwie warszawskie popołudniówki:
„Express Wieczorny” i „Kurier Polski”.

Miejsce Wyganowicza znajdowało się przy drzwiach do przedziału. Środkowe, pomiędzy nim a szpakowatym mężczyzną, było niezajęte. Michał nie zdążył kupić gazety. Miał wprowadzić w teczkę akta sprawy, dla której wyjaśnienia jechał do N., ale oczywiście nie mógł ich wyjąć i czytać w wagonie.

A w ogóle major był nie w humorze. Diabli nadali tę całą sprawę starszego szeregowca Mikołaja Bilakiewicza. Takie głupstwa powinni załatwiać na miejscu we własnym zakresie, a nie robić z tego wielkiej afery, którą by musieli zajmować się pracownicy kontrwywiadu z Warszawy. A już zupełnie niezrozumiałe – zdaniem Michała – było wyznaczenie do tej błahej sprawy przez pułkownika Mogajskiego nie kogo innego, tylko właśnie majora Wyganowicza. Musi się przez to po raz trzeci tłuc do N.

Sprawa, o tym major był całkowicie przekonany, nie była warta takich zachodów. Oto przed pięcioma tygodniami starszy szeregowiec, Mikołaj Bilakiewicz, po powrocie z koszar zameldował, że w miejscowej knajpie przysiadł się do niego jakiś człowiek, fundował jedzenie i wódkę oraz dopytywał się o „tajemnice służbowe”. Tajemnice te były zupełnie drobne i tego rodzaju, że można je było znaleźć w książce telefonicznej czy też po prostu wyczytać w prasie codziennej. Niemniej, i słusznie, miejscowa placówka rozpoczęła dochodzenie, ale zamiast prowadzić je we własnym zakresie, zaalarmowała Warszawę. Bez większego trudu ustalono nazwisko owego „fundatora”. Był nim mieszkaniec N., były żołnierz I Armii. Człowieka tego wzięto pod baczną obserwację, ale inwigilacja na razie nie dała żadnych rezultatów. Jeszcze nie przesłuchiowano go, aby przedwcześnie nie spłoszyć ewentualnego szpiega. Ale czy nim był?

Wyganowicz nie miał wyrobionej opinii. Były żołnierz spotkał w knajpie młodszego kolegę i pod wpływem paru wódek ożyły w nim stare sentymenty. Chciał się dowiedzieć, jak się żyje w koszarach w dwadzieścia pięć lat po wojnie. A niewykluczone, że starszy szeregowiec Mikołaj Bilakiewicz albo nieco przekręcił sens rozmowy, albo w ogóle ją zmyślił, żeby sobie poprawić opinię u przełożonych i otrzymać odznakę „wzorowego żołnierza”. Wyganowicz z praktyki mógł przytoczyć kilka tego rodzaju historyjek.

Ale trudno. Sprawie nadano urzędowy bieg i major oglądał teraz przez okno przesuwające się przed jego oczyma podwarszawskie miejscowości.

Za Skierniewicami szpakowaty pan demonstracyjnie wyciągnął z kieszeni swojego brązowego garnituru pudełko „Carmenów” i gazową zapalniczkę, wziął leżący na stoliczku „Express Wieczorny” i wyszedł na korytarz zamykając za sobą drzwi przedziału.

Wyganowicz odruchowo spojrzał ku górze, nad drzwiami. Tabliczka nad drzwiami wyraźnie głosiła: „dla palących”. No cóż? Każdemu wolno wyjść z przedziału dla palących na korytarz i zapalić tam papierosa. Nikogo to nie powinno dziwić. Nikogo prócz... Michała Wyganowicza. Oficer kontrwywiadu przez lata służby wyrobił w sobie odruch reagowania na wszelkiego rodzaju zachowanie się nie odpowiadające przeciętności. Może gdyby ten człowiek jedynie wyszedł z przedziału na papierosa, a nie wziął jednocześnie ze sobą gazety z poprzedniego dnia, Wyganowicz nie zwróciłby na niego uwagi. A gdyby major zdążył zaopatrzyć się w prasę w kiosku dworcowym, to kto wie, czy w ogóle rozmyślałby na temat „dlaczego ten szpakowaty facet wiezie ze sobą aż dwie gazety z wczorajszego dnia, przecież ma „Trybunę Ludu” przynoszącą najświeższe wiadomości”.

Ale Michał nie miał nic do roboty, był trochę zły i trochę się nudził, więc z braku lepszego zajęcia obserwował swojego sąsiada.

Z pozoru zachowywał się on zupełnie normalnie. Stał w korytarzu przy oknie następnego przedziału i oglądając krajobraz spokojnie palił „Carmena”. W drugiej ręce trzymał niedbale na wpół rozłożoną gazetę, ale tak, że cały jej tytuł był widoczny.

Upłynęło kilka minut. Wyganowicz nie patrzył na zegarek i nie mógłby powiedzieć jak długo już obserwuje sąsiada z przedziału, w każdym razie było to dostatecznie długo, żeby nawet najwolniej palący się papieros dopalił się aż do filtra. Ale szpakowaty mężczyzna należał widocznie do bardzo namiętnych palaczy, bo po wypaleniu jednego natychmiast sięgnął po następnego „Carmena”. W jego zachowaniu nie było nic intrygującego. A jednak major nie spuszczał z niego wzroku. Oczekiwał, że za chwilę coś się zdarzy.

Nic się jednak nie działo. Korytarzem stale ktoś przechodził, ponieważ wagon restauracyjny znajdował się w pobliżu i podróżni śpieszyli na śniadanie.

Wyganowicz także był porządnie głodny. Przed wyjazdem z domu nic nie jadł, w pośpiechu wypił tylko filiżankę kawy. Wprawdzie żona chciała mu dać jakieś kanapki na drogę, ale major kategorycznie odmówił tłumacząc Margarecie, że zje coś w wagonie restauracyjnym. Teraz miał za swoje. Siedział głodny, ale nie opuszczał posterunku.

Jeden z mężczyzn przechodzących korytarzem zatrzymał się w pewnej chwili w pobliżu „szpakowatego”. Wyjął z kieszeni pudełko, wyciągnął papierosa, włożył go do ust i zaczął szukać zapalek po kieszeniach. Nie znalazł ich więc podszedł bliżej i prawdopodobnie – oficer tego nie słyszał, bo drzwi na korytarz były zamknięte – poprosił szpakowatego pana o ogień.

Zagadnięty trzymał w jednej ręce papierosa, w drugiej „Express Wieczorny”. Podał więc gazetę przybyszowi, a sam sięgnął po zapalniczkę. Przypalił sąsiadowi papierosa, schował zapalniczkę i odebrał od niego gazetę. Drugi mężczyzna uprzejmie skłonił głowę w podziękowaniu i ruszył w stronę wagonu restauracyjnego. „Szpakowaty” spokojnie kończył palić „Carmena”.

Upłynęło kilka minut. Ruch na korytarzu wzrastał się. Głodny Michał myślał, że jeśli to potrwa dłużej, w wagonie restauracyjnym wszystkie miejsca będą zajęte.

Ale opatrność najwidoczniej czuwała nad oficerem. Stojący na korytarzu mężczyzna dopalił do końca papierosa i wrócił do przedziału. „Express Wieczorny” położył koło „Kuriera Polskiego” i właśnie zamierzał ponownie zabrać się do czytania „Trybuny Ludu”, kiedy Wyganowicz zapytał:

– Nie orientuje się pan, kiedy będziemy w Katowicach?

– O dziesiątej piętnaście.

– Dziękuję – Michał usiłował nawiązać rozmowę. – Pan jedzie do Katowic?

– Tak – odpowiedział sucho sąsiad i chcąc urwać rozmowę, demonstracyjnie zasłonił się „Trybuną Ludu”.

– Przepraszam pana – major sięgnął po leżący na stoliczku „Express Wieczorny” – czy można?

– To wczorajszy. Proszę, niech pan weźmie „Trybunę”. Dzisiejsza. Już skończyłem czytać – szpakowaty pan uprzejmie odstąpił trzymaną w ręku gazetę.

– Dziękuję panu. Wolę „expresiaka”. Wczoraj nie zdążyłem kupić, a czytam powieść.

To mówiąc Wyganowicz wziął „Express Wieczorny”. „Szpakowaty” nie zaprotestował. W przedziale pełnym ludzi nie mógł oświadczyć natrętowi, iż nie życzy sobie, aby ktoś czytał jego gazety.

Major zgodnie ze swoimi słowami rozpoczął lekturę popołudniówki od powieści umieszczonej na ostatniej

stronie gazety. Następnie odwrócił „expresiaka”, tak aby mieć przed sobą pierwszą stronę. Michał udawał, że czyta tylko tytuły, w rzeczywistości pilnie badał całą płachtę zadrukowanego papieru. Nie omylił się. Pod czerwonym tytułem widniał mały napis zrobiony niebieskim długopisem. Były to zaledwie trzy liczby i długie obce słowo:

11, 18, 19 Matrózcsárda

Oficer zauważył, że właściciel gazety nie spuszcza z niego oczu. Czym prędzej więc rozłożył „Express Wieczorny”, aby wyglądało, że nie znalazł nic ciekawego na pierwszej kolumnie i szuka interesujących wiadomości gdzie indziej. Ale i tu najwidoczniej nie ma niczego godnego uwagi, bo major składa z powrotem gazetę i kładzie ją na stoliku.

– Bardzo panu dziękuję – mówi – moje szczęście, że miał pan wczorajszego „expresiaka”. Już myślałem, że stracę wątek tej powieści.

– Proszę bardzo – „szpakowaty” pan położył „Trybunę Ludu” na „Expressie”, zakrywając zarówno tytuł, jak też i znajdujący się pod nim napis.

Upłynęło znowu z dziesięć minut. Wypełnił je postój pociągu w Koluszkach. Kiedy „Polonia” ruszyła w dalszą drogę, Wyganowicz podniósł się ze swojego miejsca mówiąc:

– W tym składzie jest chyba wagon restauracyjny?

– Niedaleko nas – poinformował młody człowiek – przejdzie pan następny wagon drugiej klasy i zaraz po nim jest restauracyjny. Czeski.

Oficer opuścił przedział i zasunął za sobą drzwi. Coraz bardziej intrygowało go zachowanie się „szpakowatego” i napis na jego gazecie. Postanowił więc odszukać jegomościa, któremu pan spod okna podał ogień i który przez moment miał w ręku „Express Wieczorny”.

Wystarczająco długo, aby przeczytać trzy cyferki i „Matrózcsárda”.

Major doskonale zapamiętał sylwetkę tego człowieka. Wysoki, o jasnych z rudawym odcieniem włosach, i niebieskich, jak gdyby wyblakłych oczach. Ubrany w ciemnoszary garnitur w dyskretną kratkę. Zapewne podróżuje w wagonie sąsiadującym z restauracyjnym.

W drodze do wozu restauracyjnego major uważnym spojrzeniem lustrował przedziały oraz kilku pasażerów stojących na korytarzu. Ale tutaj poszukiwanego nie było.

Zauważył go natychmiast, kiedy tylko wszedł do wagonu restauracyjnego. Mężczyzna o niebieskich oczach siedział przy jednym ze stolików i właśnie kończył porcję jajecznicy na szynce. Popijał ją pilznerem.

Major usiadł dwa stoliki dalej, tak jednak, aby widzieć nieznajomego. Kiedy kelner zbliżał się do oficera, obserwowany przez niego pasażer poprosił:

– Nocheinmal Bier, bitte.

Michał jadł z apetytem podane mu śniadanie, a nieznajomy spokojnie popijał swojego pilznera. Widać było, że nigdzie się nie spieszył, bo kazał sobie podać następną butelkę.

– Co robić? – zastanawiał się Michał. – Muszę za wszelką cenę dowiedzieć się, kim są ci dwaj. Dowiedzieć się, ale nie spłoszyć.

Pomógł mu przypadek. Właśnie wszedł do wagonu restauracyjnego konduktor i rozpoczął sprawdzanie biletów. Mężczyzna w ciemnoszarym garniturze sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej jasnoróżową książeczkę – bilet kolejowy międzynarodowej komunikacji. Konduktor obejrzał go uważnie i zaznaczył na odwrocie aktualny odcinek trasy. Potem zbliżył się do stolika Wyganowicza. Ten podając swój kolorowy kartonik, obojętnym tonem zapytał:

– Dokąd jedzie ten cudzoziemiec? To chyba Niemiec?

- Raczej Austriak, bo ma bilet do Wiednia – konduktor przedziurawił zieloną tekturkę i zwrócił ją majorowi.

Cudzoziemiec z biletem do Wiednia! A więc jedzie najprawdopodobniej aż do granicy. Pozostał drobiazg. Dowiedzieć się, jaki ma numer miejsca i w którym wagonie. Wystarczy jeden telefon do stacji granicznej do odpowiedniej placówki WOP-u i dyżurny oficer sprawdzający paszporty odnotuje wszystkie dane personalne faceta o niebieskich wyblakłych oczach. Gorzej z tym szpakowatym, który jedzie do Katowic.

Major gotów był przerwać podróż i wysiąść razem z nim, ale i tak istniała niewielka szansa, że w ten sposób dowie się kim on jest, a jednocześnie nie spłoszy. Nie, to do niczego nie doprowadzi. Trzeba wymyślić coś innego, ale co?

Przyszedł mu do głowy pewien ryzykowny pomysł, za który jego bezpośredni szef, pułkownik Mogajski z pewnością dobrze by mu zmył głowę. Ale major nawet przez moment się nie wahał.

Zapłacił za śniadanie i wyszedł. Już idąc do wagonu restauracyjnego zauważył na korytarzu wagonu drugiej klasy młodego człowieka o sympatycznym wyrazie twarzy. Teraz chciał go odnaleźć.

Mijali właśnie Piotrków Trybunalski, kiedy Wyganowicz zbliżył się do stojącego przy oknie mężczyzny.

- Przepraszam pana – powiedział.

Młody człowiek ze zdziwieniem spojrzał na nieznajomego.

- Przepraszam – powtórzył major – zapewne zdziwi pana moja propozycja, ale potrzebuję pomocy.

- O co chodzi?

- Jestem oficerem służby specjalnej – po cichu wyjaśniał Wyganowicz – w sąsiednim wagonie pierwszej klasy, w czwartym przedziale przy oknie siedzi szpakowaty, dość

krępy pań. Przed nim na stoliku parę gazet, między innymi „Trybuna Ludu” i „Express Wieczorny”. Bez trudu rozpozna pan tego faceta. Ma na sobie granatową marynarkę ze srebrnymi guzikami i popielate spodnie.

- Nie rozumiem. Po co mam go szukać?

- Nie będzie pan go szukał. Po prostu przejdzie się pan korytarzem wagonu, obejrzy go sobie i wróci tutaj.

- Ale po co?!

- Właśnie proszę pana o pomoc. Nie mogę przecież szczegółowo wyjaśniać, dlaczego muszę się dowiedzieć nazwiska i adresu tego człowieka.

Nieznajomy patrzył na majora jak na wariata.

- Rozumiem - ciągnął oficer - że sprawa wygląda bardzo dziwnie. Ale daję słowo, że to bardzo ważne. Proszę mi wierzyć.

- Więc co mam robić? - zapytał młody człowiek. - Przecież ani nie powie mi swojego nazwiska, ani go nie wylegitymuję. Co z tego, że go obejrzę i zapamiętam?

- Pan jedzie do Katowic?

- Tak. Tam mieszkam. Wracam z wakacji.

- Tym lepiej - ucieszył się major. - Jeżeli nawet straci pan godzinę, nie będzie to dla pana zbyt wielką szkodą.

- Ale co mam robić?

- Obejrzy pan, jak mówiłem, tego szpakowatego jegomościa. On również jedzie do Katowic. Potem wróci pan do swojego przedziału, a przed Katowicami weźmie pan swoje bagaże, przejdzie do sąsiedniego wagonu i tak manewruje, aby wysiadać przed, a jeszcze lepiej po tym panu. Rozumie pan?

- To proste - zgodził się młody człowiek - ale ciągle nie rozumiem, do czego to wszystko zmierza? Czy mam później śledzić tego faceta?

- Nie. To by nic nie dało. I tak by pana bez trudu zgubił po paru minutach. Zrobi pan co innego. Wysiadając mocno

pan popchnie tego faceta, albo niby niechcący uderzy go pan w głowę swoim bagażem.

- Ale dlaczego? On albo mnie zwymyśla, albo, co gorsza, zrobi wielką awanturę.

- O to właśnie chodzi. Mam nadzieję, że podniesie głos.

- A wtedy?

- Wtedy pan nie pozostanie mu dłużny, objedzie go pan, albo nawet i przyłoży coś ręką.

- A pan?

- Ja będę wysiadał zaraz za wami i na widok całej draki zacznę głośno wołać „milicja, milicja”. Pan będzie się kłócił ze szpakowatym aż do przybycia milicji. Gdyby zaś facet usiłował drapnąć, pan go zatrzyma. W razie czego ja pomogę.

- Przyjedzie milicja i za chuligaństwo zabiorą mnie do komisariatu. Dziękuję! Widzę, że chce mnie pan zrobić w konia.

- Przyjedzie milicja i zabierze was obu do komisariatu. A właściwie nas trzech.

- Ale po co to wszystko?

- Jeszcze pan nie rozumie? Przecież w komisariacie kolejowym milicji wszystkich nas wylegitymują.

- A mnie jako chuligana odeślą do „pośpieszniaka”, gdzie bez większych ceregieli zarobię z pół roku odsiadki.

Przecież każdy z przygodnych świadków zezna, że to ja zacząłem całą drakę.

- Nigdzie pana nie odeślą. Gwarantuję, że najdalej po godzinie będzie pan zwolniony.

- Nie wierzę.

- Proszę, oto moja legitymacja służbowa – to mówiąc oficer podał młodemu człowiekowi swój dowód.

- Nie do wiary! Cały czas myślałem, że pan mnie nabiera, ale nie mogłem domyślić się powodu.

- Widzi pan - tłumaczył Wyganowicz - muszę dowiedzieć się kim jest ten facet, ale tak, żeby go nie spłoszyć. W jego obecności na posterunku milicji będę naturalnie świadczył przeciwko panu. Po spisaniu protokołu jego zwolnię, a pana zatrzymają. Potem porozmawiam z kierownikiem komisariatu i wyjaśnię mu całą komedijkę. Naprawdę, odda pan nam dużą przysługę.

- To szpieg?

- Gdyby o tym wiedział! - przyznał szczerze major. - Wtedy nie prosiłbym pana o pomoc, lecz od razu zatrzymał faceta. Ale mamy bardzo poważne podejrzenia.

- Nie wiem, czy to wszystko dobrze się dla mnie skończy. Przecież jestem studentem, a za taką awanturę wyleliby mnie z uczelni jak amen w pacierzu.

- Daję panu oficerskie słowo honoru.

- Pójdę obejrzeć tego pana.

Młody człowiek wrócił po kilku minutach.

- Siedzi w przedziale i pali papierosa - relacjonował. - Naprzeciwko niego taka ładna blond cizia?

- Właśnie - przytaknął oficer.

- Zgoda, niech będzie. Przyłożę facetowi torbę w łeb i na dworcu kolejowym w Katowicach zrobi się draka na cztery fajerki - student zapalił się do wyznaczonej mu roli. - Tylko później niech pan major mnie ratuje!

- O to może pan być spokojny.

- Pan major wraca teraz do tego przedziału i wyjdzie za tym jegomościem?

- Nie - wyjaśnił oficer. - Ja będę siedział w wagonie restauracyjnym i wrócę stamtąd do swojego wagonu bezpośrednio przed Katowicami.

- Dobrze - zgodził się młody człowiek. - Ja zostanę tutaj na korytarzu i będę pilnował sąsiedniego wagonu.

Major wrócił do wagonu restauracyjnego. Austriak dopijał chyba czwartą albo nawet piątą butelkę piwa.

Widocznie pilzner nieco go rozmarzył, gdyż – Michał słyszał to wyraźnie – coś nucił pod nosem.

Pociąg przystanął na parę minut w Częstochowie i ruszył w dalszą drogę.

Raptem do wagonu restauracyjnego wszedł student. Podszedł do Wyganowicza i pochylając się nad nim szepnął:

– Nie ma go. Bryknął.

– Co?

– Stoję na korytarzu w swoim wagonie i zerkam naokoło co się dzieje – relacjonował. – Pociąg stanął w Częstochowie. Parę osób z naszego wagonu wysiadło, parę wsiadło. To samo w pierwszej klasie. Pociąg już ruszył, a wtedy widzę, że drzwi pierwszej klasy otwierają się i „szpakowaty” wyskakuje na peron. Mało się nie przewrócił. ale jakoś utrzymał równowagę i szybko skrył się w tunelu. Nawet się nie obejrzał i tyle go widziałem.

– Psiakrew – zaklął major. Był wściekły, mniej nawet na przebiegłego gościa niż na siebie, że nie przewidział takiego rozwiązania sprawy. Uważał się za bardzo sprytnego, a tymczasem trafiła kosa na kamień.

– Proszę płacić!

Płatniczy szybko podliczył, oficer nie czekając na resztę wstał i skierował się do swojego wagonu. Wystarczył jeden rzut oka, aby stwierdzić, że młody człowiek nie na próżno alarmował. Miejsce przy oknie było puste. Zniknęła też mała walizeczka leżąca na górnej półce.

– Co teraz zrobimy? – zmartwił się student.

– Trudno – major musiał przyznać się do porażki – uciekł nam. W każdym bądź razie bardzo panu dziękuję za dobre chęci.

– Chciałem nawet za nim wyskoczyć – dorzucił student – byłbym go chyba jeszcze dogonił i przytrzymał.

– Dobrze, że pan tego nie zrobił. Nic bym o tym nie wiedział i nie mógł panu przyjść z pomocą, a ten człowiek

domyśliłby się, że zainteresowałem się jego osobą. Jeszcze raz panu dziękuję.

Na stoliczku pod oknem po tajemniczym nieznajomym zostały jedynie dwie gazety: „Trybuna Ludu” i „Kurier Polski”.

„Express Wieczorny” z tajemniczym napisem zniknął wraz z właścicielem.

II. Kompromis pułkownika Mogajskiego

Po powrocie do stolicy major Wyganowicz złożył swojemu zwierzchnikowi, pułkownikowi Mogajskiemu, szczegółowy raport nie tylko z przebiegu sprawy starszego szeregowca, ale także zreferował dziwne wydarzenie w pociągu do Katowic. Pułkownik bez specjalnego zachwyty wysłuchał tych rewelacji.

- Wy, majorze, macie przedziwne szczęście spotykania nadzwyczajnych wydarzeń. Nawet tam, gdzie ich w rzeczywistości nie ma.

- Jak to?

- Cóż w tym dziwnego, że jeden człowiek stał na korytarzu, a drugi, choćby był cudzoziemcem, poprosił go o przypalenie papierosa?

- A ten „Express Wieczorny”?

- Mało to ludzi nie zdąży wieczorem przeczytać popołudniówki? Jadąc rano tramwajem, rozejrzyjcie się dokładnie. Ręcę, że widok osoby z „Expressem” czy „Kurierem Polskim” nie jest niczym nadzwyczajnym.

- To po co podawał mu tę gazetę?

- Sami mówicie, że w jednej ręce trzymał zapalonego papierosa, a w drugiej dziennik. Więc jak miał z gazetą w ręku sięgnąć do kieszeni po zapalniczkę? Wprawdzie mógł włożyć papierosa w usta i w lewą rękę wziąć „Express”, ale taki gest nie byłby zbyt elegancki. W wielu krajach trzymanie papierosa w ustach uchodzi za impertynencję w stosunku do rozmówcy.

- A te liczby i napis na dzienniku?

- Nigdy niczego nie notował pan na trzymanej w ręku gazecie? Cyfry mogą być numerem telefonu. A napis „Matrőzcsárda”? Mógł ktoś rozmawiać z waszym „szpakowatym” o Budapeszcie i opowiadać mu o tamtejszej słynnej knajpce nad Dunajem, a facet zapisał sobie jej nazwę.

- Rzeczywiście. Od początku zdawało mi się, że znam to słowo, ale zupełnie wyleciało mi z głowy, że jest taka restauracja w Budapeszcie. A więc wszystko jasne.

- Chyba tylko dla pana, majorze.

- Początkowo sądziłem, że to jakiś szyfr, ale teraz jestem przekonany, że w ten sposób „szpakowaty” umówił się z Austriakiem na spotkanie.

- Kiedy?

- „11” to jedenasty miesiąc, „18” na pewno dzień, to znaczy osiemnastego listopada, a „19” to godzina spotkania. Schadzka odbędzie się więc w „Matrőzcsárda” osiemnastego listopada, o godzinie siódmej wieczorem. Proste?

- Powiedzmy, że wasze rozumowanie jest słuszne. Ale dlaczego nie dziewiętnastego listopada o szóstej po południu?

- Te liczby pisane były z pewną logiką. Ponieważ pierwsza była jedenasta, co oznacza listopad, więc następna jest dniem spotkania, a dopiero trzecia godziną.

- A czy przypadkiem nie była to rzymska dwójka, którą pan odczytał jako jedenastkę? Wtedy randka miałaby się odbyć dopiero w lutym?

- Nie. Pamiętam doskonale, że pałeczki miały u góry takie ogonki, jakie się stawia przy jedynkach. Tego jestem zupełnie pewien. A co do kolejności tej osiemnastki i dziewiętnastki, to nic ważnego. Zaledwie jeden dzień różnicy. Zrobimy zasadzkę najpierw osiemnastego

listopada, a jeśli nie da wyniku, powtórzmy ją następnego dnia.

- Szybki z pana jeździec - uśmiechnął się pułkownik. - Ale na tym koniu daleko nie pogalopujecie.

- Dlaczego? - zachnął się Wyganowicz.

- Bardzo proste. Po pierwsze, zapominacie o małym drobiazgu, że „Matrőzsárda” znajduje się nie w Warszawie, lecz w Budapeszcie. A zatem na terytorium wprowadzie zaprzyjaźnionego z nami, ale obcego państwa. Moglibyśmy tam działać jedynie na podstawie porozumienia międzypaństwowego i tylko poprzez odpowiednie organa władz węgierskich.

- Przecież to nasi sojusznicy. Z ich strony nie będzie żadnych przeszkód.

- Powiedzmy. Jest jednak jeden mały szkopuł.

- Jaki?

- Gdybym naszym zwierzchnim władzom postawił taki wniosek i umotywował go historyjką opowiedzianą mi przed chwilą przez majora, to wie pan, czym by się skończyło?

Wyganowicz milczał.

- Po prostu wyrzucono by mnie za drzwi i poradzono, abym zamiast kierować naszą komórką zajął się pisaniem sensacyjnych powieści. Tam można bujać. U nas bierze się pod uwagę nie nadmiar fantazji pewnych oficerów, ale fakty, nagie fakty. Zresztą gdybym nawet jakimś cudem przekonał kogo potrzeba, że trzeba się zająć tą sprawą, to władze węgierskie na podstawie tak skąpych danych, jakimi major rozporządza, doszłyby do wniosku, że polski kontrwywiad cierpi na chorobę nadgorliwości i w każdym widzi szpiega.

- Gdyby facet był bez winy, to by nie wyskakiwał z pociągu w Częstochowie.

- Widział pan jego bilet? Na pewno jechał do Katowic?

- Sam mi to powiedział.